



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: MIERNOTA WYGRYWA

W amerykańskim filmie przygodowym „Romancing the Stone” Roberta Zemeckisa, który na naszych ekranach idzie jako „Miłość, szmaragd i krokodyl”, jedną z dwóch postaci wiodących jest młoda pisarka Joan Wilder, zaplątana przypadkowo w cały łańcuch niezwykle wydarzeń gdzieś w górach i lasach Ameryk i Południowej. Jak to często bywa w tego rodzaju filmach, owa trochę ofermowata, śmiesznie sentymentalna i niezbyt pociągająca „szara mysz” przekształca się w pewnym momencie ze staropanieńskiego Kopciuszka w pełną uroku, seksu oraz sił witalnych dziewczynę, która bezapelacyjnie zasługuje na podziw oraz miłość swojego partnera, ornitologa i żeglarza Jacka Coltona, zdobywając - na dodatek - wspólnie ze swym ukochanym bezcenny szmaragd. W ten sposób reżyser Robert Zemeckis oraz aktorzy Kathleen Turner i Michael Douglas w prosty, naoczny sposób udowadniają, że przy odrobinie dobrej woli miłość, zdrowie i pieniądze może osiągnąć nawet osoba... parająca się piórem.

Inna sprawa, że Joan Wilder jest autorką dzieł czwartorzędnych, książek o tematyce melodramatyczno-awanturkowej, „mrozących krew w żyłach” opowieści „z Dzikiego Zachodu”, w których maltretowane na różne sposoby (przez zły los oraz okrutnych mężczyzn) bohaterki osiągają w końcu szczęście w mocarnych ramionach „tajemniczych jeźdźców”. Takich autorów „prawdziwi” literaci skreślają zwykle, z pogardą, mianem „beztalencia” lub „pisarskich miernot”. Cóż z tego, skoro właśnie ci ostatni cieszą się największą poczytnością wśród tzw. „szerokich rzesz czytelników”, i ich książki osiągają wysokie nakłady, zamawia się u nich scenariusze filmowe i telewizyjne. Gdyby bohaterka „Miłości, szmaragdu i krokodyla” uprawiała pisarstwo na miarę Faulknera, Kafki czy Dostojewskiego, nigdy nie wyszłoby cało z niesamowitych opresji, bo wielbiciele jej talentu rekrutowaliby się spośród intelektualistów („jajogłowych”), a nie z grona południowoamerykańskich opryszków, handlarzy narkotyków, w których łapy wpadła gdzieś w kolumbijskiej górskiej wiosce. A tak - sława „popularnej autorki”, której książki „trafiły pod strzechę” jednego z hersztów gangu, uratowała jej życie...

Czwartorzędna sława pisarska Joan Wilder doprowadza w filmie Zerneckisa do zdobycia przez nią atrakcyjnego mężczyzny i nie mniej atrakcyjnego szmaragdu. Przy trochę innym założeniu filmu poziom jej pisarstwa mógłby, na przykład, przynieść jej fortunę, jako „odkrytej dla kina”, wziętej scenarzystce filmowej. Ostatecznie nie od dzisiaj wiadomo, że reżyserzy filmowi, nawet ci najwybitniejsi, chętnie sięgają do utworów pisarzy miernych, mogąc bez skrępowania, „na bazie” tej literatury, tym szerzej rozwijać własne artystyczne skrzydła... Można by stąd wysnuć wniosek, że autorska miernota nigdy nie traci, a często jeszcze zyskuje, i to kosztem oraz dzięki dokonaniom artystycznym innych.

Co zatem z pisarstwem „pierwszorzędnym” i jego związkami z filmem? Z tym bywa różnie, a przykładem niech będzie wspomniana już tutaj twórczość Williama Faulknera i jego związki z kinem i przemysłem filmowym.

Późniejszy zdobywca nagrody Nobla i dwukrotny laureat nagrody Pulitzera współpracę z filmem, jako scenarzysta, rozpoczął w połowie 1932 r., w wytwórni Metro Goldwyn Mayer w Hollywood. Miał wówczas niespełna 35 lat, a w dorobku autorskim takie dzieła jak „Sartoris”, „Azyl”, „Światłość w sierpniu” oraz „Wrzask i furia”. Ale to dla producentów filmowych nic nie znaczyło. Miał pisać scenariusze, najlepiej na „zadane tematy”, a także dialogi do filmów kręconych według scenariuszy napisanych przez innych autorów. Zarabiał wówczas dobrze, ale nie ze względu na swoją pozycję literacką (której zresztą wówczas wcale ani w Stanach Zjednoczonych, ani tym bardziej poza ich granicami jeszcze nie posiadał). „Nie przesadzę, jeśli stwierdzę - zwierzył się w 1971 roku, już dawno po śmierci Faulknera, tłumacz jego książek na język francuski, Maurice-Edgar Coindreau - że trzeba była nagrody Nobla w 1949 roku, by w jego własnym kraju zaczęto mówić o nim bez szyderstwa. Jeszcze dwa lata temu otrzymałem ze Stanów Zjednoczonych list, którego autor oskarżał mnie o lansowanie za granicą człowieka uważanego w ojczyźnie za wioskowego przygłupka.[...] Dialogi (do filmów) pozwalały mu zarobić pieniądze potrzebne na życie, których nie przynosiły jeszcze jego książki. Żył z kina. Wyjeżdżał rano, wracał późnym popołudniem”.

Tak jak większość scenarzystów w wielkich wytwórniach filmowych, Faulkner pracował niczym urzędnik, w określonych „godzinach urzędowania”. W jednym pomieszczeniu wraz z kilkoma innymi scenarzystami. Tymczasem pod drzwiami Jack Warner (jeden z właścicieli wytwórni Warner Bros, z którą Faulkner związał się od 1942 r.) podsłuchiwał czy... wewnątrz wszystkie maszyny do pisania klekocą bez przerwy. William Faulkner - wówczas już autor następnych dzieł: „Pylonu”, „Absalomie, Absalomie!”, „Niepokonanych” i „Dzikich palm” - liczył się dla Jacka Warnera jedynie, jako „wytwórca scenariuszy” oraz „lekarz (nieudolnych) scenariuszy” napisanych przez innych autorów. Nie

był zresztą przez szefa ceniony zbyt wysoko, skoro ten płacił mu prawie czterokrotnie mniej (350 dolarów tygodniowo) niż Faulkneri zarabiał przed dziesięciu laty w wytwórni M. G. M. W tym samym czasie słynni scenarzyści filmowi, (o których, jako o pisarzach, milczy historia literatury) zarabiali dziesiątki tysięcy dolarów i byli noszeni na rękach przez wielkich przedsiębiorców filmowych. Co do Wiliama Faulknera, to ten cieszył się bardzo, gdy sprzedano 13000 egzemplarzy wydanego w 1948 r. (na dwa lata przed Noblem) „Intruza”, bo żadna z jego dotychczasowych kasjerek nie osiągnęła takiej pokupności!

Ostatecznie Faulkner znalazł się naprawdę „na wygranym”. Ale jako autor wybitnych powieści i opowiadań. Jako scenarzysta pozostał dla swych chlebodawców, autorem „miernym”; z czterdziestu ośmiu napisanych przez niego scenariuszy filmowych, zakwalifikowano do produkcji jedną trzecią.

Joan Wilder - ze swoim pisarstwem – zdystansowałaby go zapewne o kilka długości...

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 5, s. 11.